

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

11

(Ciąg dalszy).

Wesołość spotęgowała się jeszcze. Goście śmiejąc się głośno trzymali się za boki.

— Skądże się wziął ten ptaszek?

Kilku oberwańców, trzymając napętnione szklanki w ręce, przybliżyło się do agenta, chcąc obejrzeć ten dziwoląg z bliska. Jaminot udając coraz bardziej obrażonego i dotkniętego, rozmyślnie nie zwracał na nich uwagi.

Zwrócił się wprost do gospodarza.

— Co jest? Czego się tak dziwicie? Czy ja was znam?

— No to się widzi!

Na te słowa Jaminot zadrżał radośnie.

— Przypuśćmy, że się pomyliłem. Owa! Wielkie rzeczy! Czy ja na tem co tracę? Gwizdam na to. Już dosyć tego! A choćby! Tak, jestem w kłopotcie — dodał zniżając głos — o cóż wam chodzi? Wlażem w niepotrzebny kawałek. I zamiast mi tu błagować, lepiejbyś ojciec pomógł mi się wygrzebać. Mógłbyś mi jako miejscowy wyszukać jakiego kapitana na odjeźdźnym, z którymbyś mógł odpłynąć, gdzie pieprz rośnie. Byłbym na jego usługi.

— O to nie trudno.

— Bez naciągania...

— Gdzieżby znowu! Nie obiecuję napewno, ale się poszuka.

— Oh, toby z was był zuch porządny! Od rana już łażę w porcie, ale boję się, żeby mnie nie przyłapali! Oh, gdybym tak miał szczęście spotkać się...

— Z kim?

— Nie mogę powiedzieć. Zabronił mi wspominać... to święte! A może być, że się w adresie pomyliłem; ale nie. Kazał mi się udać do pańskiego zakładu, jakbym czego potrzebował. Dlatego też tu wszedłem, ryzykując ostatnie grosze, na los szczęścia! Podobno on tu stałym gościem. Do wszystkich świętych, ale mnie też z nóg ścięło! Spać mi się chce. Pomyślcie: całą noc na nogach. Tak, gdyby on chociaż się domyślił, że go szukam i wstąpił tu na kieliszek... Co jemu w głowie? Nie mnie brać na kawał! Czy się to tak postępuje z towarzyszem? Gdybym się tak nie obawiał i wiedział, gdzie się głupiec gnieździ, tobym poszedł go wietrzyć...

— Ale kogo?

— Kiedy mi nie wolno mówić! Widać zależy mu na tem.

— Powiedźcie choć, jak wygląda. Może go tu znamy, to się wam pomoże go odszukać.

— Oh, nic szczególnego; taki sam człowiek, jak drugi. Co chcecie? tegi chłop! Tak koło trzydziestu lat, szatyn, wasy duże. Ah, do dyabła, tak bym się zdrzemnął!... A ten, wiecie, mógłby uchodzić za ładnego chłopca, żeby nie bliźna, która go szpeci.

— Bliźna?

— Tak, pod prawem okiem. Ale co wam po tem. I tak go nie poznacie.

— A jakże... przecież to „Gruby Ludwik“ — zawołał szynkarz.

Wszyscy zaciekawieni skupili się koło Jaminota.

— I mybyśmy go nie znali! Towarzysza, przyjaciela! Pierwszy do roboty! Pierwszy do dziewcząt!

— No tak. To Gruby Ludwik. Ale moi drodzy — to nie ja wydałem sekret! — zawołał uszczęśliwiony inspektor, który dowiedziawszy się już o tem, co mu było potrzebne, teraz pragnął być jak najdalej od swoich przygodnych towarzyszy.

Teraz trzeba zmykać, co si! A nużby tak Gruby Ludwik wpadł teraz niespodzianie? Ładne rzeczy by się działy w tej mordowni! Jaminot był trochę zdziwiony gadatliwością i brakiem podejrzania u tych ludzi, którzy nie wyglądali wcale na baranków. Co prawda, ruchy Jaminota, jego gburowate obejście i wygląd, mogły tylko w tych rzezimieszkach wzbudzić zaufanie. Nie wyglądał zupełnie na szpiega, a tak się namiętnie trzymał, że zasypywali go pytaniami, na które ledwie że raczył odpowiadać.

A może dla tych ludzi, tego zbiornika łajdaków wszelkiego rodzaju, zdolnych do każdego czynu, tej kompanii dobranej z wyszukanym artyzmem,

powołanie się na tego ptaszka, jakim musiał być zapewne Gruby Ludwik, było legitymacją, paszportem, rozwiązującym języki?

Co bądź było, należało prowadzić grę dalej bardzo ostrożnie i starać się wymknąć, tembardziej że Jaminot zauważył pomiędzy rzezimieszkami dzielwego zucha, wspaniale rozwinięte bydle, o rudych włosach, spadających mu aż na oczy, o olbrzymich łapach, który nie spuszczał go z oka i w którego zwierzęcym wyrazie twarzy agent nie dojrzał wcale sympaty dla siebie.

Jaminot był wysoki i zgrabny, wyćwiczony i wygimnastykowany a przytem nadzwyczajnie dzielny; ale bójka z siedmioma czy ośmioma zbrojami nie uśmiechała mu się zupełnie i pomijając już osobiste niebezpieczeństwo, mogła mu popsuć sprawę. Przytem Jaminot był tego dnia niezwykle wyczerpany i zmęczony.

— Jeżeli czekacie na Grubego Ludwika — odezwał się gospodarz nory — to możecie długo czekać.

— Dlaczego?

— Bo nie widzieliśmy go tutaj oddawna. Musi gdzieś być na robocie.

— Odkąd to? Ej, a co mnie to zresztą obchodzi, to nie mój interes. Wcale mi na tem nie zależy, czy to od ośmiu, czy piętnastu dni... Skoro go niema...

— Przeszło piętnaście dni. Nie pokazał się tu od połowy stycznia mniej więcej...

— Oh, to mnie nie wrusza...

Na to wміeśzał się rudy olbrzym i głosem ochrypniętym, zdartym przez alkohol, spytał:

— He? To ty do spółki pracujesz z Grubym Ludwikiem?

Łapę wielką, jak ćwiartka baraniny, położył ciężko na stole, a w drugiej trzymał pełny kieliszek wódki.

— W spółce? Tak i nie...

— He? Co ty gadasz?

— Wspólnik nie pracuje na swoją rękę w tajemnicy, a on się wcale nie ogląda na mnie. Nawet nie wiem, gdzie jest jego nora... Ale jak ma jaką byczką facetkę, to się z nią łajdak pokazuje! A jakże!... Paraduje tak, żeby go każdy widział...

— Facetka! On ich ma na tuziny!

— O której mówicie? — zapytał szynkarz.

— Ej, to jego rzecz. Co wam do niej? A zresztą, to nie nowina.

— Czyby to nie była... bo on mi coś wspominał o tem. On ze mną się nie krepuje... Brunetka, wyśoko urodzona panienska — dodał szeptem.

— Zależy się... Ja jej tam do niczego nie potrzebuję... Niech ją sobie ma... Zaledwie ją raz widziałem. Jego postępowanie wcale mi się nie podobają...

Rudy przerwał Jaminotowi:

— A więc, jeżeli nie jesteś wspólnikiem, to co jesteś? — zapytał.

— Jesteśmy towarzysze, to dosyć... A co do tego, to bez niepotrzebnej ciekawości... szlachetność i koleżeństwo obowiązują... Ile razy pracowaliśmy razem, sprawa okazywała się pewną, jak złoto, każdy korzystał... Tylko ostatni raz wdepnął paskudnie. Ja się wykaraskałem i wtedy to wspominał mi o waszym lokalu. Ale co tu gadać napróżno... nic mi to nie przyniesie... ja mam coś lepszego na głowie... chcę się zabrać z jakim okrętem... Ziemia staje się dla mnie nieprzyjemna i nie bardzo bezpieczna!

— Cierpliwości, nie pali się! — odrzekł szynkarz. — Dziś, zdaje się, niema odjazdu... mam na myśli takiego, jakiego wam potrzeba. A jeszcze muszę natrafić na jakiego znajomego. Ale liczę na mnie... Ja o tem pomyślę.

— Dziękuję, odpłacę się kiedyś... Ale nie mogę czegoś usiedzieć na miejscu. Zagrzałem się w porządku i teraz ciągnie mnie na świat. Phi! i cóż ja ryzykuję? Już mi to szelmowskie życie obrzydło! Pójdę, może mi się uda gdzieś samemu wkroczyć!

Chciano go zatrzymać, ale się uparł. Nie przyjął nawet „kolejki“. Tłumaczył się, że nie może się zrewanżować... Udał się ciągle podejrzliwego. Ktoś podał myśl, żeby go zapoznać z Hortensją. Dzielna kobieta, właścicielka zakładu, którego dostarczycielem był właśnie Gruby Ludwik. Onaby go mogła ukryć długi czas u siebie, póki się coś nie znajdzie stosownego. Nie chciał o niczem słyszeć, ale zapamiętał sobie w duchu ten ważny szczegół. Obiecał powrócić wieczorem i dać znać, jeżeliby mu się udało, chyba by zaszło jakie niebezpieczeństwo.

Nareszcie wydostał się na ulicę. Zauważył, że

krok w krok za nim, ale w pewnej odległości, szedł gruby olbrzym.

Jaminot był sprytny. Z łatwością więc zgubił się w tłumie i stracił z oczu śledzącego go włóczęgę. Odetchnął teraz swobodnie. Wyrwał się szczęśliwie z tej podejrzananej szynkowni, do której lada chwila mógł wpaść Gruby Ludwik. Przepadł gdzieś to prawda, ale mógł powrócić.

Jaminota niepokoiła jedna rzecz: by jakoś wytłumaczyć i uporzokować stosunki, łączące go z Grubym Ludwikiem, wspominał, że „pracowali razem“. Ale jakiego rodzaju była ta praca? Napróżnoby się tłumaczył dyskrety i solidarność, gdyby tak ta zacna paczka była wymagała bliższych objaśnień. Jakież to miały być sprawy łączące ich? Oszustwa? kradzieże? szantaże? Nie ulegało wątpliwości, że Gruby Ludwik był dostawcą żywego towaru, sutenerem, naganiaczem. Ale czy pozostawał w związku z ową sprawą? Było to prawdopodobne, ale nie pewne.

Na szczęście nikt nie zdawał się go podejrzawać; nikt nie zapytał go o nazwisko. Może przez delikatność, aby nie zmusić go do kłamstwa. Najdziwniejsze było to, że szynkarz tak skwapliwie ofiarował mu swoje usługi. Ale zastanawiając się nad tą okolicznością, doszedł do przekonania, że była to często praktykowana życzliwość i chęć dopomożenia człowiekowi, który należał do „stowarzyszenia“.

A zresztą, gdyby tak ciągle rozbierać za i przeciw, końcaby człowiek nie doszedł. Trzeba sobie powiedzieć, że jest tak, a nie inaczej. Miał jeszcze ważniejsze rzeczy na głowie. Przedewszystkiem zdać raport i odpocząć trochę. Biedny Jaminot, nie mógł się już na nogach utrzymać ze zmęczenia!

Pan Cardec, dowiedziawszy się o rezultacie śledztwa, udał się natychmiast na policję i opowiedział sprawę swojemu belgijskiemu koledze. Nieobecność jego trwała dość długo. Gdy powrócił do hotelu, agent, który rzucił się na łóżko w ubraniu, przeciągał się wyspany i wypoczęty i ziewał szeroko.

Pan Cardec w krótkości opowiedział mu rezultat wizyty. O Joannie Bernay policja wiedziała bardzo mało. Mieszkała przy pewnej rodzinie w Antwerpii parę miesięcy do roku. Nie znano nazwiska człowieka, którego widywano spacerującego z ładną nauczycielką. Wiedzano tylko, że był to łajdak pierwszej wody, uprawiający pod pokrywką agenta teatralnego handel dziewczętami. Nigdy jednak nie dał się przyłapać dla braku dowodów, jak również nie było go można aresztować, choć miano go silnie w podejrzeniu, że on to był sprawcą kilku morderstw i większych kradzieży. Miał stosunki wyrobione w sferach poważnych i wpływowych i formalnie był zawsze w zgodzie z prawem. Był to ptaszek zręczny i pewny siebie. Jednakże od pewnego czasu stracono go z oczu. Ostatni raz widziano go w Brukseli. Wszystko więc zgadzało się z opowiadaniem Kazimierza. Od tej chwili znikł z horyzontu. Prawdopodobnie musiał wyjechać za granicę, ale...

I tu szef bezpieczeństwa przerwał opowiadanie i spojrzał przenikliwie na Jaminota, który zaczął się dyskretnie uśmiechać. Po chwili Cardec mówił dalej:

— Ale od dzisiaj rana są na tropie wspólnika tego miłego ptaszka. Ciekawy dla policji okaz, który przybył widzieć się ze swoim towarzyszem do domu bardzo podejrzanego, będącego pod dozorem. Oho, tego przyłapią w krótkim czasie i już się postarają rozwiązać mu język. No, wtedy już Gruby Ludwik nie wywikła się!... Będzie miał ładną sprawę!

— Panie szefie, ale mnie ten „wspólnik“, ten „okaz“ coś trochę jest znany, jak pan szef uważa?...

— I mnie też — zaśmiał się Cardec.

— O, do dyabła! A ja miałem się za dystygowanego człowieka! A to łajdaki! Ręczę, że to ten plugawy szynkarz wyśpiewał wszystko. On musi być w zмовie z policją. Domyślałem się trochę tego.

— On? Co znów? On się niczego nie domyśla. To uczciwy przemysłowiec, uczciwy, skoro nie dał jasnego dowodu, że kwalifikuje się pod klucz. A potem widzisz, on się zna z tymi ptaszkami i trzeba go umieć uszanować, bo przydać się może. To nie on, to inny.

— Pokazano go panu?

— Postarałem się o to. Byłem bardzo zaciekawiony. To agent olbrzymiego wzrostu, posiadający dziwną zdolność charakteryzowania się. Potrafił się tak „zrobić“, że go nikt ze stowarzyszenia nie pozna, a nawet boją się go, bo silny iak tur...